

## LIST

Dumny ze swojej samoświadomości, stąpał po ulicy świata (jego pycha przez cały świat spacerowała!) i patrząc w siebie, świata nie widział. Nie patrzył pod nogi, tak się w myślach czuł, że nóg nieomal nie miał. Ale się potknął... Cóż to go z niego samego wytrąciło? Przypatrzył się.

Po tak długim nieopatrzeniu różne mu się na chodniku jestestwa widziały. A to rysa w cementowej płycie, a to nieokreślony paproch, a to pięciogroszówka, a to pęk kluczy, a to Mont Blanc. A na zboczu tej góry gór znalazł list. Kiedy go przeczytał, uznał, że potknął się o niego.

„Ja, absurd, chcę Ci się objawić absurdalnie: oto piszę do Ciebie list. Nie próbuj mi odpowiedzieć, bo to byłoby jeszcze bardziej absurdalne niż ja, a to przecież niemożliwe.

Dlaczego ja do Ciebie, a nie Ty do mnie? Bo żyjesz w rzeczywistości i w mowie o rzeczywistości, zawsze rzeczywicie. (Tak sądzisz...). A ja jestem tylko w mowie, dlatego absurdalnie, z rzeczywistością nic nie mając i nie chcąc mieć wspólnego. Co najwyżej jej domysły.

Absurdalne, moje, jest tylko to, co się mówi.

Wiem, że i Tobie przytrafia się zagubienie w mowie, wtedy zdajesz się sobie absurdem. Tak dzieje się, gdy jesteś mistykiem albo poetą. Ale nie być rzeczywistym nie możesz.

Ja, absurd, często wysydzam rzeczywistość, mam wtedy odczucie absurdalne: wysydzam coś, czego nie znam. Taka jest moja, absurdu, wiarygodność!

A jednak, będąc tylko w mowie, piszę list do Ciebie, rzeczywistego, bo mowa jest dla listów przeznaczona, ja na tym jej przeznaczeniu pasożytuję. I okazuje się, że miewam z tego powodu wyrzuty sumienia, że zdradzam swoją naturę, a raczej brak natury. Ściślej mówiąc, czyli paradoksalnie, sumiennie układając mowę w paradoksalne zdania, sylogizmy, sensy, staję się ich lukami, a przez te luki, chcąc nie chcąc, domyślam się rzeczywistości i Ciebie w niej. Ale tylko domyślam się.

I mniemam, że być może mój pozorny domysł rzeczywistości i Twoje mistyczno-poetyckie poczucie, że jesteś od rzeczywistości oderwanym absurdem, gdzieś się spotykają.

Mój list do Ciebie jest absurdalnym spotkaniem.

Istniejąc w mowie, doświadczyłem, że ona ma <tematy>, dzięki takiej podzielności mowy łatwiej mi absurdalnie asymilować każdy jej temat z osobna, niż ją samą, całą. Ty też, jak mowa mi mówi, masz swoje rzeczywiste tematy życia. Pisząc list do Ciebie, wybieram więc kilka tematów i chociaż jest absurdem (czyli mną), że się w tych tematach porozumiemy, jednak ryzykuję (jako absurd jestem ryzykiem czystym) twoją rzeczywistość porozumienia.

Pierwszy absurdalny temat: moje nic – Twoje ja.

Taka już jest (a właściwie nie jest) moja natura, że jestem (a właściwie nie jestem) niczym. Bo jestem (nie jestem) pozornym węzłem: chwytając się jakiegokolwiek mojego samopochwycenia, natychmiast rozwiązuję je w nicłość.

A Ty? Zawsze masz jakieś swoje teraz, na przykład teraz czytasz mój list, ale każde Twoje teraz rozwiązuje się następną terażniejszością, poprzedniej już nie ma. I nie ma też mojego listu. Nie odpowiada się absurdowi.

Drugi temat absurdalny: mój nonsens – Twoje zagubienie.

Gdybym potrafił cierpieć (czy zwróciłeś uwagę, że pisałem o moich wyrzutach sumienia, to przecież cierpienie...), bolałoby mnie ustawiczne miotanie się między sensem zdań, jakie o moim bezsensie wypowiadam, a tym bezsensem. Ale jak może boleć bezsensowna próżnia między sensem a bezsensem?

Ty też jesteś zagubiony, chociaż w innej próżni. W rozmaitych bezsensach Twojego życia znajdujesz jego nienaruszalny – pozornie – sens: że jesteś. Ale każdy z życiowych bezsensów wyrwa coś z twojego życia i unicestwia. A im dłużej żyjesz...

Trzeci temat absurdalny: mój moment – Twoje życie.

Ja, absurd, jestem natychmiastowy i moje <nie jestem> natychmiastowo anihiluje <jestem>. Nie jest możliwa bardziej momentalna momentalność, to bezwymiarowy punkt w czasie, punkt likwidujący czas.

Ale przecież w jakimś czasie piszę do Ciebie ten list, ten czas jest też wymuszony przez to, że w nim będziesz czytał... Zapewne piszę, żeby wyssać z Ciebie jakiś niemożliwy dla mnie czas i absurdalnie, niemożliwie, przyswoić go mojemu nieczasowi. A Ty – wreszcie muszę to przyznać! – który mnie sobie razem z tym listem wymyśliłeś, żyjesz i żyjesz, i żyjesz w moich absurdach, które są Twoimi. Ilekroć mnie, absurd, pomyślisz, tym realnie z n o w u musisz żyć, musisz mieć czas życia.

Czwarty temat absurdalny: moje milczenie – Twoja śmierć.

Moje milczenie o życiu, bo nie mam z nim związku. Twoja śmierć – a jaka by nie była, jest absurdalna – nie ma z Tobą związku, nie ma więc też ze mną, którego pomyślałeś.

Moje milczenie samo siebie przemilcza. Twoja śmierć to śmierć – nie ma bardziej milczącego milczenia.

We mnie, w absurdzie, mowa umiera. Dlaczego sądzisz, że chociaż umrzesz, to mowa nie umrze? Czy taki Twój pogląd nie jest absurdem? Jesteś przekonany, że po Twojej śmierci ktoś inny przeczyta mój list do ciebie. Owszem, przeczyta, ale to absurd, bo ciebie nie będzie.

Piąty, ostateczny temat absurdalny: moja absurdalna istota całej mowy – Twoja niemożliwość mówienia o mowie.

Ja, absurd, skupiam wokół siebie, jak puste oko cyklonu, wszystkie znaczenia. Nic by nie znaczyły, gdyby nie wirowały wokół niczego. Wirują z szaleńczą szybkością, bo łudzą się, że poprzez oko bezznaczeniowej nicości będą mogły przewidzieć rzeczywistość poza mową. Czyli łudzą się, że ja, absurd, w istocie jestem nieabsurdalny. Znaczenia się łudzą? – Nie, Ty się łudzisz, używając mowy. Żywię się Twoim złudzeniem.

Piszę do Ciebie list, bo żal mi Ciebie, Twojego złudzenia, że absurd, centrum mowy, może coś Tobie powiedzieć. Łudzisz się, że mówiąc o mowie, bo przecież to ty mówisz ten list do siebie, naprawdę o mowie mówisz. Nie, to absurd. O mowie nie da się mówić. Nie da się mówić o mowie, która mówi o Tobie. A zatem, kto mówi? Mowa? – Nie. Ty? – Nie. Mówię ja, absurd, który nie mówi.

Przykro mi, że czytałem Ciebie w ten list nicości o niczym”.

Przeczytał ten list w mgnieniu oka, w mgnieniu samoświadomości, która otworzyła się na wieki wieków – i w ostatniej listownej kropce przewrócił się. Rysa w cementowej płycie wgłębiła się poza materię, nieokreślony paproch wyzbył konturów jeszcze bardziej się nie określił, za świat nikt nie dał nawet pięciu groszy, żadne zamknięcie nie dopasowało się do kluczy, bo nie było nic zamkniętego (otwartego też nie), Mont Blanc to szczyt niezdobyty, list w mgnieniu przeczytał się na wylot wszystkich słów.

Przeczytał list, w ostatnim wysiłku odrzucił pierwszy i ostatni cudzystów – i przepadł.



Fotografia – Agnieszka Gutek-Zegier



Prace plastyczne – miss\_dorys